

wtorek, 20.02.2024

Historia jednego Pamiętnika - Pamiętnik Sybiraka

Zanim przejdziemy do całej historii związanej z Pamiętnikiem i poszukiwaniem Autora i Rodziny, warto zatrzymać się na chwilę przy roku 1939. Większość z nas wie, że 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Z kart podręczników historii znamy mniej lub bardziej czasy okupacji niemieckiej, ale historię kresów wschodnich i terenów zajętych przez Związek Sowiecki 17 września 1939 roku mogliśmy, jako Naród poznać dopiero po 1989 roku i też z wielkim bólem. Znamy Historię Armii Andersa i Bitwę o Monte Cassino, wiemy, przynajmniej tu, na naszym terenie, o walkach oddziałów kawalerii pod dowództwem ówczesnego pułkownika Wł. Andersa pod Mławą. Ale dlaczego powstała armia w ZSRR, skąd się wzięli ludzie, i całą historię wyprowadzenia Polaków z ZSRR zna już niewielu, a jeszcze mniej tragedię setek tysięcy naszych Rodaków wymordowanych, wywiezionych na „niehumanitarną ziemię” skazanym na niewolniczą pracę na Syberii po 17 września 1939 roku, nie mówiąc już o tragedii dzieci. Sama historia tułaczki dzieci Andersa jest warta niejednej książki i filmu, choć i tak już wiele o tym powiedziano i napisano.

Wspominamy o tym wszystkim, ponieważ losy rodziny Ryniejskich wpisują się tragicznie w dzieje naszych Rodaków ze Wschodu. O tym właśnie, o deportacji na Syberię, o tragedii Polaków z terenów Białostockiego i Kresów opowiada Pamiętnik Pana Zbigniewa.

Zaciekawieni i w dużej mierze dzięki opowiedzianej historii rozpoczęliśmy poszukiwania, które pozwoliły nam odkryć historię rodziny Ryniejskich, tę sprzed wojny i tę po wojnie. Zanim więc oddamy głos Panu Zbigniewowi, na chwilę zagłębimy się w dzieje samej rodziny Ryniejskich, która nawiasem mówiąc, ma także powiązania z Ziemią Zawkrzeńską.

Dzieje Janiny i Jana Ryniejskich

Janina Nossarzewska (pierwsza z lewej) z siostrami

Poszukiwania rodziny Ryniejskich doprowadziły nas do Fundacji „Kulturalne Kurpie”. Dzięki uprzejmości Fundacji, a także potomkom rodziny Ryniejskich, możemy podzielić się historią rodziny Pana Zbigniewa. Za tę życzliwość oraz za udostępnione zdjęcia i wiele ciekawych opowieści bardzo serdecznie dziękujemy.

W latach 1931-1935 w leśniczówce Zawodzie koło Myszyńca mieszkali Janina i Jan Ryniejscy. Poznali się prawdopodobnie latem 1930 r., kiedy to Janina przyjechała w odwiedziny do swego stryja - myszyńskiego lekarza Stanisława Nossarzewskiego, a Jan w tym czasie został zatrudniony jako leśniczy.

Janina urodziła się 3 kwietnia 1904 r. w Bołgradzie w Rosji jako najstarsza z pięciu córek Jadwigi i Jana Nossarzewskich. Jej ojciec w latach 1900-1904 był lekarzem weterynarii bołgradzkiego odcinka powiatu izmailskiego guberni besarabskiej. 28 września 1904 r. rodzina Nossarzewskich przeniosła się do Kalisza, gdzie Jan rozpoczął pracę jako miejski weterynarz. Tam 12 kwietnia 1906 r. urodziła się najstarsza córka małżeństwa - Janina. W lipcu 1907 r. Nossarzewscy zamieszkali w Międzyrzecu Podlaskim, a Jan podjął pracę jako powiatowy lekarz weterynarii w pobliskim Radzynie. W grudniu 1908 rodzina powiększyła się o kolejną córkę Irenę, a w styczniu 1911 r. urodziła się Izabella. Podczas I wojny światowej - w roku 1915 - Nossarzewscy zostali ewakuowani do Rosji do guberni kałuskiej, a potem

Do Polski Nossarzewscy wrócili w listopadzie 1918 roku. Jan Nossarzewski najpierw ponownie pełnił funkcję lekarza powiatowego w Radzynie, a następnie w Sieradzu w latach 1922 - 1929. W Sieradzu Nossarzewscy mieszkali przy ul. Wodnej w domu p. Grabowskiej. 5 maja 1922 r. zmarła jedna z siostr - jedenastoletnia Izabella. Ta śmierć z pewnością była bolesnym doświadczeniem dla bliskich.

Jan Nossarzewski nie tylko pracował zawodowo, ale był również aktywnym działaczem społecznym. Należał do założycieli Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności, udzielał się w Towarzystwie Prawidłowego Myślistwa i Ochrony Zwierzyny Łownej.

Janina w tym czasie uczęszczała do Miejskiego Gimnazjum Koedukacyjnego w Sieradzu, które funkcjonowało w tym mieście od 1922 r. W 1929 roku rodzina przeniosła się do Grodziska Mazowieckiego, gdzie Jan otrzymał posadę powiatowego lekarza weterynarii. Wiadomo także, że wielokrotnie w czasie wakacji wraz z siostrami Janina bywała w Myszyncu u stryjostwa Nossarzewskich, których córki były w podobnym wieku.

Podczas jednego z takich pobytów, w roku 1930, Janina poznała Jana Ryniejskiego, który dokładnie w tym roku podjął pracę jako leśniczy w podmyszynieckim Zawodziu. Znajomość z nieco starszym leśniczym (urodził się bowiem w 1896 roku) zaowocowała zawarciem małżeństwa. Ryniejscy pobrali się 30 kwietnia 1931 r. w Grodzisku Mazowieckim, ale zamieszkali w Myszyncu, gdzie na świat przyszli ich dwaj synowie: Bohdan (ur. 1932) i Zbigniew (ur. 1934). W roku 1935 r. rodzina Ryniejskich przeniosła się do miejscowości Kleszczele k. Bielska Podlaskiego, gdzie Jan podjął pracę jako leśniczy.

W czasie oczekiwania na trzecie dziecko, Janina zmarła 17 marca 1938 r. z powodu zatrucia ciążowego. Można sobie tylko wyobrazić, jakim ciosem była ta śmierć dla męża i małych synów.

Janina Nossarzewska

W roku 1939 Jan ożenił się powtórnie. Jego żoną została wdowa o imieniu Maria (ur. 1896, zm. w roku 1964 w Milanówku), która, według opowieści rodzinnych pracowała wtedy jako gospodyni u miejscowego Proboszcza.

Kiedy wybuchła wojna, Kleszczele znalazły się najpierw pod okupacją niemiecką, a potem weszły w skład Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Rejon kleszczewski stał się częścią obwodu brzeskiego.

Jan jako leśniczy i element niebezpieczny, według zaborców, już we wrześniu 1939 r. został aresztowany i osadzony w więzieniu w Brześciu nad Bugiem. Maria Ryniejska wraz z ośmioletnim Bohdanem i sześciolatnim Zbigniewem jeszcze do grudnia mieszkała w

Image not found or type unknown

leśniczówce, kiedy to, zgodnie z zarządzeniami Stalina NKWD zaczęło wywozić Polaków w na Syberię. Maria wraz z dziećmi została aresztowana i wywieziona wraz z setkami rodaków w głąb Syberii.

Jan Ryniejski w wieku 16 lat siedząc w Twierdzy Brzeskiej do 1941 roku. Po wojnie został uwolniony z niemieckich łagierów. W 1941 r. udało mu się odzyskać wolność. Zdołał dotrzeć do leśnicówki w Kleszczelach i tuż po powrocie do domu został aresztowany i zginął z rąk hitlerowców. Miejscowy ksiądz pochował go następnego dnia w grobie ze zmarłą kilka lat wcześniej żoną na cmentarzu w Kleszczelach.

Wojnę przeżyli Maria Ryniejska i synowie Jana. Wrócili z Syberii dopiero w 1946 r. i najpierw trafili w okolice Wrocławia. Tam udało się jej skontaktować z rodziną swego męża. Dowiedziała się o śmierci Jana, a dzięki pomocy Jana Nossarzewskiego, dziadka chłopców i zarazem ojca pierwszej żony Jana Ryniejskiego, rodzina przeprowadziła się do Milanówka, zamieszkując z rodziną Nossarzewskich.

Image not found or type unknown

Czytając powyższą historię, trzeba stwierdzić, że Pani Maria była niezwykłą kobietą, dzielną i z wielką miłością, macierzyńską, gdyż przez te lata tułaczki wśród głodu, mrozu i wielu niebezpieczeństw potrafiła zaopiekować się powierzonymi jej chłopcami. Nie oddała ich do sierocińca, choć jej to wielokrotnie proponowano.

Powojenne losy Rodziny

Pani Maria Ryniejska zamieszkała w Milanówku, gdzie zmarła w roku 1964. Najstarszy syn Pana Jana - Bohdan Ryniejski poszedł w ślady ojca i został leśniczym. W czasie, gdy powstawał ten artykuł - w lutym roku 2024 - żył jeszcze i cieszył się życiem wśród rodziny i najbliższych. Młodszy syn Jana - Zbigniew - autor wspomnień - przez lata pracował w leśnictwie i rolnictwie. W roku 1957 ożenił się z Barbarą Dzierżbicką (ur. w 1939 r.). Małżonkowie zamieszkali w Ostródzie. W roku 2005 zmarła pani Barbara, a Zbigniew przeżył swoją żonę o 2 lata i zmarł 27 września 2007 r. Oboje pochowani zostali w Ostródzie. Groby Janiny i Jana Ryniejskich, rodziców Bogdana i Zbigniewa, jak już wspominaliśmy wyżej, znajdują się na cmentarzu w Kleszczelach.

Fotografie powyżej (patrzac od góry):

- Janina Nossarzewska (pierwsza z lewej) z siostrami
- Janina Nossarzewska
- Jan Ryniejski

Fotografia w nagłówku i poniżej

- Zbigniew Ryniejski

W tekście pamiętnika:

- Rodzina Ryniejskich: Janina i Jan Ryniejscy z synami - rok 1935
- Maria Ryniejska, druga żona Jana, która przeżyła Syberię. Zdjęcie wykonane po II Wojnie

Po tym wstępie o historii Polski i rodzinie czas zagłębić się w karty Pamiętnika. Zachowaliśmy oryginalną pisownię i słowa, czasami dodając jakieś słowo dla lepszego zrozumienia tekstu.

Dla nas jest to opowieść o odwadze, miłości i wierności Rodzinie i Ojczyźnie. A dla potomnych, taką mamy nadzieję, obraz tragedii i cierpienia Polaków, ale też tragedii wojny. Dziękując za świadectwo życia, oddajemy głos śp. Panu Zbigniewowi.

Przeżyłem Syberię! - Zarys wspomnień z lat dziecińczych

W 30-tą rocznicę męczeństwa Powstańców Najukochańszej Pani Basiu-ce

Zbyszek

Dnia 9 maja 1989 roku

Ostróda, 7.VIII.1977

Miałem wówczas 5 lat i 8 miesięcy, a że pamięć jeszcze mnie nie zawodzi, więc mogę dość wiernie odtworzyć zdarzenia tamtego okresu.

Był rok 1939, późna jesień albo wczesna zima, bodaj był to miesiąc grudzień. Mieszkaliśmy w Białostockiem, w małej mieścinie Kleszczelach w leśniczówce naprzeciwko plebani. Ojciec był leśnikiem, a w tym okresie ukrywał się ze względów politycznych - był oficerem rezerwy. Szczegółów nie znałem bliżej, a zresztą teraz to nie ma znaczenia, wtedy na pewno miało, może wszystko potoczyło by się inaczej, ale zawsze jest trudno coś przewidzieć, a zwłaszcza przewidzieć wydarzenia w czasie burzy wojennej, w każdym razie utkwiło mi w pamięci zawołanie radzieckiego żołnierza „sabierajcieś w sorok pięć minut”, co znaczyło, że na spakowanie się do drogi, jak się później okazało bardzo dalekiej i trudnej mieliśmy 45 minut czasu.

Rodzina była niewielka - ja, starszy o niecałe dwa lata brat i matka, druga zresztą, bo pierwsza umarła rok wcześniej, ale jak się później okazało w życiu prawdziwa matka. Spakować mogliśmy tylko to, co dało się wziąć do ręki i włożyć na siebie. Matka jak każda zapobiegliwa i przewidująca, wkładała na nas i na siebie co się tylko dało, a że było zimno, więc ubranie specjalnie nie przeszkadzało. Tobolki z podręcznym bagażem i pościelą oraz worek sucharów też zdołaliśmy zabrać ze sobą. Na dworze czekały furmanki, cały szereg furmanek z wysiedleńcami i jeszcze tego samego dnia znaleźliśmy się na dworcu kolejowym, oddalonym o kilkanaście kilometrów, nie pamiętam jak się nazywała ta stacja. Załadowano nas do jednego z wagonów w „eszelonie” wraz z innymi rodzinami, w sumie około 40 ludzi i zaryglowano na cztery spusty.

Ostróda, 7.IX.1977

aresztowany przez organa NKWD, siedział w więzieniu w Brześciu do czasu wybuchu wojny niemiecko - radzieckiej. Teraz wracam do tematu zasadniczego.

W załadowanych po brzegi wagonach towarowych, gdzie były prycze dwupiętrowe, w zbiorowisku ludzkim, w zasadzie składającym się z kobiet, dzieci i starców, zdarzały się różne losowe tragedie. Ludzie chorowali masowo i umierali. Poza suchym prowiantem nie było nic do jedzenia, a po za tym wagony były nie ogrzewane i szron pokrywał wszystkie śruby i sztaby żelazne, toteż pamiętam, gdy się chciało pić lizaliśmy owe śruby, co nieraz kończyło się przymarzaniem języków. Oczywiście zaczęły się szerzyć choroby. Brat zachorował na zapalenie płuc, gorączka 42 stopnie, a ratunku z zewnątrz nie było.

Dopiero po tygodniu jazdy na którejś stacji otworzyły się drzwi wagonu i weszli żołnierze radzieccy, niektórzy nawet żartowali, nie wyglądali groźnie i obchodzili się po ludzku. Niebawem też pojawił się kociół z gorącą zupą, chyba kaszą. Cóż to była za radość, gdy można było napić się i zjeść czegoś ciepłego. W wagonie przebywaliśmy na pryczach i wszystko odbywało się na leżąc, lub siedząc, najgorzej to było z czynnościami fizjologicznymi, była wprawdzie dziura w podłodze, ale na tyle osób to nie załatwiała sprawy, więc siłą rzeczy „zapachów: nie brakowało.

Pociąg jechał dość szybko, ale były czasami postoje trwające nawet dwie i trzy doby, aby później pędzić na przód. Im dalej od Polski i bliżej granic Azji, tym temperatura obniżała się coraz bardziej, aby w końcowej fazie podróży osiągnąć -45 stopni C i jeszcze niżej. Trasa biegła linią władysławowską, poprzez Kazań, Riazan, Tułę, Nowosybirsk. Podróż pociągiem trwała około dwóch miesięcy, także gdzieś w końcu lutego osiągnęliśmy końcową stację, nazwy już nie pamiętam. Oczywiście śnieg na głębokość kilku metrów i mróz tęgi, pamiętam, że marzliśmy okropnie pomimo tego, że okryci byliśmy czym się tylko dało.

Dalszą podróż na odległość około 100 km odbywać mieliśmy samochodami.

5.XI.1977

Wśród zawiei śnieżnej i mrozu ciągnęła się cała kolumna samochodów ciężarowych wyładowanych po brzegi. Niejednokrotnie grzęzły one w zaspach i wtedy kto tylko miał dość siły zeskakiwał ze skrzyni i pchał wozy do przodu. W dzień i w nocy jechaliśmy naprzód z jednym postojem w miejscowości Tisul. Pamiętam jasno oświetlony wielki pałac - hotel, a w nim pełno zesańców leżących pokotem, na zewnątrz również. Płacz dzieci mieszał się na przemian z lamentem kobiet.

Już wtedy głód doskwierał niesamowity. Największym pragnieniem było najedzenie się do syta, ale miał to być dopiero przedsmak prawdziwej głodówki trwającej przeszło 6 lat. Wreszcie, po kilku dniach i nocach potwornej podróży byliśmy u celu.

Była to specjalnie wydzietona wioska dla zesańców o nazwie Gramatucha, gdzie były przygotowane baraki i drewniane budynki, na początek nawet naręcza drewna złożone przy piecyku. Brat mój po raz drugi zachorował i matka zrozpaczona, starała się gdzieś dostać choćby kubek mleka, ale było to marzenie.

Nie widząc innego wyjścia zwróciła się o pomoc do komendanta osiedla, który owszem postarał się o mleko, ale w zamian za to zażądał coś z odzieży. No i było wyjście z sytuacji, bo otrzymał za to futro karakułowe, jedyną ciepłą odzież, którą matka miała na sobie. Później matka chodziła w kufajce, ważne, że brat miał mleko i to utrzymało go przy życiu.

Prowadzeni w drewnianego domku pojechaliśmy wszyscy do przodu, pod podłogą była pochyła, 06-545 LIPÓWIEC KOSCIELNY
grasowały po całej ziemiance. Zamieszkaliśmy wraz z drugą rodziną, bezdzietne małżeństwo - jakiś gajowy z kresów, który wkrótce zmarł na zapalenie płuc. Pamiętam, jak trzymaliśmy świece przy łóżku (pryczach) w czasie jego konania.

Najgorsza okazała się ta pierwsza zima z 1939 na 1940 roku. Opady śniegu były tak obfite, że któregoś dnia obudziliśmy się w zupełnych ciemnościach, z prostej przyczyny, gdyż zawiąło okna i drzwi. Do pracy nad odśnieżaniem przystąpiła nasza matka wraz z żoną gajowego. Codziennie trzeba było odgarniać śnieg przez parę godzin. Jako drogi od poszczególnych chałup prowadziły wąskie rowy wśród śniegu na głębokość 3 metrów. Którejś nocy śniegu tyle nawiało, że go od okien i drzwi przekraczało wszelkie możliwości i siły fizyczne, wówczas kobiety zrezygnowały z tego i zrobiło się wyjście przez strych i okienko na poddaszu, a my wszyscy pogrążyliśmy się w ciemnościach jak w żywym grobie.

Następnego ranka śniegu było już tak dużo, że wyjście z baraku okazało się niemożliwe, nawet przez okienko na strychu. Gdy próbowaliśmy rozpalić w piecu, dym wracał do pomieszczenia, co świadczyło o tym, że komin został zawiany śniegiem.

No i zaczęły się koszmarnie noce i dni. Początkowo mieliśmy nadzieję, że to długo nie potrwa i dopóki była nafta i świece oraz suchary w worku, nadzieja nas nie opuszczała. Leżeliśmy cały czas w pościeli, gdyż zimno było potworne, a kobiety odprawiały modlitwy. Trudno sobie wyobrazić trwogę matki, gdy skończyły się suchary a nafta i świece były na wyczerpaniu, pyzatym zaczynało brakować powietrza, formalnie nie można było swobodnie oddychać.

Zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że grozi nam śmierć głodowa i przez uduszenie. Nie pamiętam, jak reagowaliśmy na taki stan rzeczy, pewnie matka pocieszała nas jak tylko mogła. Przypominam tylko sobie, że lampa zaczęła przygasać pomimo zapasu nafty.

Wreszcie usłyszeliśmy stukania na zewnątrz i wkrótce okazało się, że szukają nas pod śniegiem. Jak się później okazało, byliśmy zasypani śniegiem przez okres dwóch tygodni na głębokości do 4 metrów. Po odkopaniu baraku ewakuowano nas do zbiorowego budynku drewnianego, gdzie przebywało razem 6 rodzin. Pod naporem ogromnej masy śniegu opuszczony barak zawalił się natychmiast.

Wśród dużej zbiorowości ludzkiej oraz warunkom sanitarnym urągającym wszelkim normom, zaczęły się szerzyć choroby zakaźne, przede wszystkim tyfus, gdyż wszelkiego rodzaju robactwo wprost nas oblażyło: wszy, pluskwy i karaluchy były normalnym zjawiskiem.

Matka niestety zachorowała na tyfus i gdy była już blisko śmierci otrzymała od komendanta wioski propozycję, aby nas oddać pod opiekę władzy radzieckiej. Nie zgodziła się, mówiąc iż wystarczy, że zabrano nam ojca.

W czasie zamieszkiwania w osiedlu matka moja wraz z innymi zesańcami pracowała w kopalni rudy złota. Praca była bardzo ciężka i trwała od świtu do nocy. Czasami zaglądaliśmy do tych kopalń oczywiście po kryjomu i pamiętam, że rzeczywiście zdarzało się dostrzec samородki złota sporej wielkości.

W porze letniej było bardzo ciepło, przy czym nawiedzała ten rejon plaga mszyc syberyjskich, które wdzierały się dosłownie wszędzie. Wyżywienie w porze letniej stanowiło runo leśne syberyjskiej tajgi, a na zimę robiło się zapasy w postaci dzikiego czosnku, tzw. kolby, poza tym łowiliśmy ryby w leśnych rzekach i zbieraliśmy szyszki cedru i jakoś się żyło.

Najgorzej było w zimę. Właśnie w czasie choroby matki był najgorszy głód i wtedy nieoczekiwanie nadeszła paczka z żywnością od siostry matki z Magnitogorska (nie pamiętam skąd miała nasz adres, pewnie matka pisała do niej), w której była żółta, wysuszona i zjełczała słonina. Dosłownie po małym plasterku codziennie matka zjadała tę słoninę i powoli wróciła do zdrowia i odzyskała siły, a przed nami był okres dość długi do przetrwania.

Parafia pw. św. Mikołaja Lipowiec Kościelny do czerwca 1941 roku, kiedy to rozpoczęła się wojna i zaczęli Niemcy okupować Polskę. W tym czasie, kiedy Niemcy okupowali Polskę, w sowieckiej o tym, że wszyscy internowani mogą się przenieść swobodnie do linii frontu. Oczywiście skorzystaliśmy z tej możliwości razem z innymi udaliśmy się w drogę na zachód, ale nie w czerwcu, lecz dopiero z początkiem zimy. Potworna była to podróż, bo ciągle jechaliśmy saniami po zasypianych śniegiem drogach tajgi i urwiskach skalnych przykryci wszelkimi możliwymi piernatami i z niewielkim zapasem żywności, nocując po drodze w przypadkowo spotkanych wioskach i „zajazdach”.

Nie ujechaliśmy wiele kilometrów, może około 100, choć trwało to prawie dwa tygodnie. Wreszcie zrezygnowaliśmy z dalszej drogi, gdyż nie było ani środków ani sił i ostatecznie zatrzymaliśmy się w kołchozie pod nazwą „Duć k socjalizmu” w osiedlu pod nazwą Walerianówka oddalonym około 15 km od najbliższej stacji kolejowej i miasta o nazwie Tiażyn. Tam dotrwaliśmy do końca wojny.

W kołchozie zamieszkaliśmy początkowo w baraku a następnie przygarnęła nas rodzina rosyjska, która składała się z matki rodu, córki Izury, Wiery i kaleki Lidki a nazwisko brzmiało Szczerbakowa. Mieszkaliśmy wszyscy oczywiście w jednym pomieszczeniu a my dzieciaki mieliśmy urządzone spanie na piecu. Ciepło tam było, gdyż był to piec również do pieczenia chleba. Światła elektrycznego oczywiście nie było, tylko lampy i świece.

Matka zajęła się robótkami na drutach, w zasadzie wyrabiała duże szale a właściwie chusty, które nosiły miejscowe kobiety, to było podstawą naszego bytu. Poza tym otrzymaliśmy działkę, gdzie uprawialiśmy ziemniaki, które były zasadniczym całorocznym pożywieniem, chociaż na przednówku zawsze ich brakowało i znowu głód dawał się we znaki, zresztą nie pamiętam dni, kiedy byliśmy syści, marzyliśmy o tym aby znaleźć się w Polsce i raz najęść się do syta choćby samych ziemniaków z mlekiem.

Latem i my dzieciaki dorabialiśmy w kołchozie pasąc kilkadziesiąt owiec dojnych oraz ganiając konie w kieracie miejscowej suszarni zbóż. Za tę pracę mieliśmy zapłatę w postaci woreczka mąki, która musiała starczyć na całą zimę. Zresztą zawsze byliśmy głodni A na przednówku jedliśmy suszone obierki z ziemniaków, tłuczone na mączkę (w moździerzach), ze łzami w oczach trzeba było spożywać sporządzone placki z tej mączki.

Pamiętam rozpacz pewnego razu, kiedy to zagubiły się pasące się owce albo kiedy rozchorowaliśmy się z przejedzenia suszonym zbożem podpalanym na blasze w palenisku suszarni.

W tym okresie chodziliśmy do szkoły radzieckiej wraz z rówieśnikami Rosjanami, zresztą uczyliśmy się pilnie, zawsze lepiej opanowaliśmy materiał niż rodzeni Rosjanie. Mam do dzisiaj świadectwa czwartej klasy gdzie stopnie są b. dobre i dobre. Nawiasem mówiąc lekcje odrabialiśmy na gazetach między wierszami, gdyż brak było papieru, a świadectwa są wydawane na lichym papierze w kratkę, tyle tylko, że są tam pieczęcie.

W domu matka uczyła nas po polsku pisać i czytać oraz wiersze i pieśni, także uczyliśmy się w dwóch językach jednocześnie, byliśmy wychowywani przez matkę w duchu patriotycznym i z nadzieją ze po powrocie do kraju spotkamy ojca.

Zima była najgorsza a zwłaszcza koniec zimy i ten cholerny przednówek, kiedy nie było co do ust włożyć. Czekaliśmy kiedy kra spłynie na rzecze i w lesie zacznie się zielenić, wtedy łatwiej o pożywienie.

Mijały lata, chodziliśmy co roku do następnej klasy i tak doczekaliśmy się najpierw wiadomości o końcu wojny a później dopiero w następnym roku 1946 w marcu opuściliśmy kołchoz i załadowani do wagonów towarowych ruszyliśmy w drogę powrotną do kraju. Wagony w czasie jazdy nie były tym razem plombowane a podróż trwała krócej, gdzieś około miesiąca. Dojechaliśmy do kraju ze łzami szczęścia w oczach, ale polską ziemię poczuliśmy pod stopami dopiero na krańcach zachodnich, tzn. na ziemiach odzyskanych w miasteczku Żmigród we Wrocławskim.

Niestety ojciec nie przeżył, po paru tygodniach od rodziny pierwszej matki zamieszkałej w Milanówku. Ojciec nasz zmarł w 1941 r. Po opuszczeniu więzienia radzieckiego udał się wraz z kolegami w drogę do Leśniczówki w Kleszczewach gdzie zresztą dotarł. Niestety w miasteczku była łapanka niemiecka, Niemcy splądrowali leśniczówkę, zabili byłego parobka Kuźmę a następnie po śladach wiernego psa dotarli do knajpy, gdzie byli więźniowie zatrzymali się na posiłek.

Oczywiście wywieźli wszystkich i prowadzili na przesłuchanie do odległej miejscowości. W czasie drogi ojciec opadł z sił i nie mógł iść więc któryś ze szwabów odbezpieczył pistolet i dwoma strzałami pozbawił życia mojego ojca. Następnego dnia człowiek od księdza znalazł ojca leżącego w samej bieliźnie, a ksiądz pochował go na cmentarzu obok zmarłej w 1938 roku matki, i tak oboje rodzice spoczęli obok siebie.

My spakowaliśmy swoje rzeczy i zaproszeni przez dziadka, tzn. ojca pierwszej matki, udaliśmy się do Milanówka”.

W tym miejscu kończy się Pamiętnik spisany przez Zbigniewa.

Ps. Poniżej w galerii przedstawiamy zdjęcia znalezione w internecie, które ukazują życie, wywózkę i tragedię naszych Rodaków z Kresów i z terenów zajętych przez ZSRR po 17 września 1939 r. Pamiętajmy, że to tylko fragment i próba zilustrowania losów Zesłańców. Rzeczywistej tragedii tamtych ludzi nie pokaże w pełni żadne zdjęcie.

Dwa pierwsze zdjęcia są z opisem, ukazują rodzinę Autora Pamiętnika

Strona oraz materiały zawarte w niej są objęte prawami autorskimi. Wykorzystywanie, kopiowanie i publikowanie części lub całości treści i informacji zawartych na stronie Parafii wymaga zgody Administratora Serwisu Parafii św. Mikołaja w Lipowcu Kościelnym (adres e-mail w nagłówku strony).

—